



*Illustration*  
**PARADA**

**ROK I**

**NIEDZIELA, 31 PAŹDZIERNIKA 1943 R.**  
SUNDAY, OCTOBER 31, 1943

**Nr 15**

CENA EGZ.: w Egipcie P.T. 2, w Palestynie 25 mils., w Iraku 30 fils., w Iranie 3,5 Rls., w Anglii 6 d., w Afryce Wsch. 6 d.



General Carmona, prezydent Portugalii



Lizbona

Sir Ronald Hugh Campbell, ambasador W. Brytanii w Lizbonie

## Układ brytyjsko - portugalski w sprawie Azorów

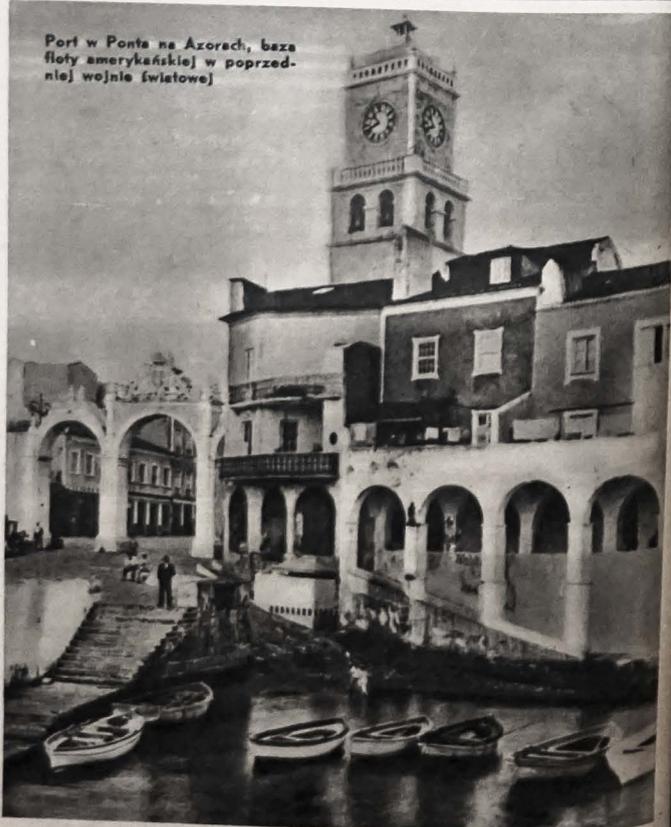
Na podstawie specjalnego układu Portugalii przyznała Wielkiej Brytanii prawo użytkowania morskich i lotniczych baz na Azorach. Archipelag tych wysp portugalskich posiada kluczowe znaczenie, leży bowiem w centralnej strefie Oceanu Atlantyckiego i samoloty sprzymierzonych operujące z tych baz będą mogły zamknąć tzw. „ścieżkę niemieckich łodzi podwodnych”.

Wyspy Azorskie tworzą trzy archipelagi o łącznej powierzchni około 900 mil kwadratowych. Najkrótsza droga morska łącząca Liverpool z Azorami wynosi około 1460 mil morskich.

Układ w sprawie baz na Azorach zawarty został w Lizbonie. Rozmowy na ten temat przeprowadził ambasador brytyjski Sir Ronald Campbell z premierem portugalskim dr Salazarem.

Premier Churchill powiadając Izbę Gmin o zawarciu układu w sprawie Azorów, wspomniał, że obecna umowa opiera się na sojuszu brytyjsko-portugalskim z roku 1573, zawartym pomiędzy królem angielskim Edwardem III, a królem Ferdynandem i królową Eleonorą portugalską.

Dr Salazar, premier portugalski



Port w Ponta na Azorach, baza floty amerykańskiej w poprzedniej wojnie światowej

DWUTYGODNIK ILUSTROWANY  
ARMII POLSKIEJ NA WSCHODZIE  
ROK I

# PARADA

FORTNIGHTLY REVIEW OF  
THE POLISH ARMY IN THE EAST

NIEDZIELA, 31 PAŹDZIERNIKA 1943

№ 15

## PRZYJAZD MINISTRA DELEGATA RZĄDU DO KAIRU



Dowódca A. P. W. General Anders — Minister dr Straszburger

W dniu 18 października b. r. przybył do Kairu Minister Delegat Rządu dla spraw polskich na Wschodzie dr Henryk Straszburger.

Urząd Ministra delegata Rządu, utworzony dekretem Prezydenta R.P. obejmuje całokształt polskich spraw na Bliskim i Śr. Wsch. oraz w Afryce Wsch. i w Indiach.

W dniu swego przyjazdu Minister dr Straszburger wysłał następującą depeczę do Dowódcy A. P. W.:

**GENERAL ANDERS DOWÓDCA ARMII POLSKIEJ  
NA WSCHODZIE**

*Obejmując urządowanie na Bliskim Wschodzie w charakterze Przedstawiciela Rządu, w rozstrzygających dla Polski chwilach, przesyłam naszym Siłom Zbrojnym, pod dowództwem Pana Generała, najserdeczniejsze pozdrowienia. Oby nam danem było w niedalekiej przyszłości, powrócić do uwolnionej i umocnionej Ojczyzny.*

(—) STRASBURGER



# NEAPOL NIGDY NIE ZAPOMNI

Napisał morski korespondent „Parady” LAMBTON BURN



Zniszczone doki i urządzenia portowe

Droga, wiodąca ku ulicy 30-tu kranów jest długa i nużąca. Z całego miasta przychodzą tu wychudłe i zmęczone kobiety, ciągnąc za sobą dzieci. Wszystkie obciążone są niezliczoną ilością butelek, słoików, glinianych garnków i przychodzą tutaj po wodę.

W dzielnicy portowej, koło doków przechodzi gruba, żelazna rura opatrzona kranami. Jest to jedyne źródło wody wielkiego miasta, zniszczonego wojną. Czasem trzeba walczyć kilkanaście godzin, aby otrzymać butelkę wody, czasem przy odrobinie szczęścia można napełnić garnki w ciągu poranka. Ale woda jest najcenniejszą rzeczą w Neapolu i dostęp do kranu jest tym, czego sobie ludzie naprawdę najbardziej zazdroszczą. To też

choć wędrówka do ulicy 30-tu kranów jest długa, choć często wraca się do domu dopiero wieczorem, wysiłek jest wart zachodu.

Niemcy przed opuszczeniem Neapolu zniszczyli miasto bardzo dokładnie i metodycznie. Zachowali się tak, jakby chcieli ukarać włoski naród za zażądanie zawieszenia broni od sprzymierzonych. Stacja pomp i filtry zostały zburzone, a wiele głównych zbiorników potrąskano wybuchami min. Ten akt barbarzyństwa w milionowym, nowoczesnym mieście miał przede wszystkim ten skutek, że każdy mieszkaniec na samo wspomnienie Niemców zaciska zęby i mówi: „Neapol nigdy nie zapomni!”



Ruiny zniszczonych przez Niemców składów i fabryk

Doprawdy ta nienawiść do Niemców jest rzeczą najbardziej rzucającą się w oczy. Nienawiść do Niemców i zupełny brak wrogich uczuć w stosunku do sprzymierzonych, oto, co uderza każdego, który krąży po wąskich uliczkach zrujnowanego Neapolu.

Pewnego wieczoru piłem wino z włoską rodziną, mieszkającą na czwartym piętrze nowoczesnego gmachu w dzielnicy na ogół nieuczęszczanej przez naszych żołnierzy. W czasie ożywionej dyskusji kilku młodych ludzi rozpięto marynarki i z dumą wskazywało na błyszczące rewolwery. Każdy chwalił się wielką ilością zabitych przez siebie Niemców. Gdyby mieli choć cień ochoty zabić mnie, mogliby to teraz uczynić z całą łatwością. Niktby się nie dowiedział gdzie zginąłem wśród tego labiryntu ciemnych i wąskich uliczek. Ale widocznie nie mieli najmniejszej ochoty na popełnienie morderstwa, natomiast często i wesoło wnosili moje zdrowie. Opowiadałem: Benito finito — nie znajdując lepszych i bardziej związanych z tą okazją słów. A oni śmiali się głośno, klepali mnie po ramieniu i opowiadali o tym, jak długo wyczekiwali na nadejście tego szczęśliwego dnia.

Przykro mi było odchodzić od tych miłych ludzi, ale czekało mnie jeszcze wiele pracy.

Neapol, miasto wspaniałych hoteli, miasto turystów, przestało istnieć. Niemcy podpaliли wszystkie luksusowe hotele w dzielnicy Santa Lucia. Oczywiście czyn ten można przypisać ich wrodzonemu wandalizmowi. Nia było bowiem żadnych motywów strategicznych, które mogłyby upozorować tego rodzaju zniszczenie.

Przechodząc koło Alberto Reale zająłem przez wybite okna do wielkiej restauracji, zczerniałej od dymów. Osmalone kaktusy zwiślały martwo ku ziemi.

Przebiegając koło Albero Continente wielkie stopy gruzów tarasowały wejście. Szczęśliwie hotelu Vezuio widniały poprzez olbrzymi dół wyrwany wielotonową bombą, Excelsior, zewnątrz wyglądał mało uszkodzony, ale z okien wydobywał się dym, świadczący, że dotychczas jeszcze nie zdążyli ugasić pożaru.

Przez wiele godzin chodziłem po ulicach Neapolu, patrząc na przepływający tłum, śpieszący na ulicę 30-tu kranów. Ludzie szli z butlami na plecach, z gąsiorkami w wózkach dziecięcych, z setkami rozmaitych naczyń, którymi wyładowane były kosze, taczki i wszelkiego rodzaju pojazdy, ciągnięte przez ludzi. Przechodnie przystawali od czasu do czasu i ocierali pot z twarzy. Wszyscy mieli wygląd zmęczony, a jednocześnie znać było, że są przyzwyczajeni do cierpliwości i rezygnacji, którą wyrabia życie pełne trudu. Przyjęli jeszcze i ten cios z fatalizmem zrodzonym z cierpienia i nędzy.

A mimo to wielu szło do domów śpiewając. Przypominam sobie dokładnie widok dużej rodziny złożonej z matki z siedmioma córkami. Szły poprzez mały plac nućąc neapolitańską piosenkę, uśmiechnięte i bez troski. Otoczyły mnie i zapytały, czy jestem Amerykaninem, czy Anglikiem. Widocznie były zadowolone z mojej odpowiedzi, śmiały się przyjaźnie i powiewały chusteczkami.

Wydawało mi się z początku, że ulica 30-tu kranów jest jedynym miejscem, gdzie można dostać wodę. Po pewnym czasie jednak przekonałem się, że w porcie na rampie kolejowej stoją wagony cy-



Zniszczone przez Niemców linie tramwajowe

sterny, w których również znajdują się woda.

Koło kościoła St. Gennaro Al Vomero tłum walczył o dostęp do punktu sanitarnego, bronionego przez żołnierzy amerykańskich, uzbrojonych w karabiny z bagnietami. Dwie zakonnice, biało ubrane ciągnęły ręczny wózek wyładowany gąsiorami od wina, napełnionymi wodą. Kilkunastu żołnierzy amerykańskich musiało eskortować zakonnice i odpiierać kolbami karabinów nieustannie ataki spragnionego tłumu.

Idąc wciąż pod górę doszedłem do starego kartuzjańskiego klasztoru San Martino, położonego na wysokości 740 stóp nad poziomem morza. W San Martino znajduje się obecnie muzeum. Byłem ciekawy, czy uległo ono również zniszczeniu. Wszedłem na podwórko i znowu uderzył mnie widok walczącego tłumu. Około 40 kobiet i dzieci, krzycząc i popychając się dobiegało się do studni, pochodzącej jeszcze z XVII wieku. U wej-

ścia do zamku Sant'Elmo Niemcy wysadzili w powietrze most zwodzony. Masa gruzu, drzewa powyrywane z korzeniami, kupy kamieni były jeszcze jednym więcej dowodem tego bezgranicznego barbarzyństwa niemieckiego, które bije w oczy z każdego rogu i z każdej ulicy.

Ze wzgórza Sant'Elmo port Neapolu wyglądał jak wydłużony półksiężyc. W porcie tym leżały szczątki 30 wspaniałych okrętów od 29 tysięcy tonowej „Lombardii” poczynając, a kończąc na krążowniku „Atendolo”. Wraki małych uzbrojonych jachtów i wysmukłych ścigaczy wypełniają całą przestrzeń dużego portu. Niektóre z tych statków stały się ofiarami bomb RAF-u. Wiele jednak zostało zniszczonych przez Niemców, którzy usiłowali zablokować port. Nie oszczędzono nawet okrętu szpitalnego „Sycylia”, który leży obecnie silnie przechylony na bok, z masztami i kominem opartymi o bulwar przybrzeżny. Sylwetki powykrzywianych dźwigów portowych czernieją ponad drogą. Wygląda tu tak, jakby prze-

szło tędy trzęsienie ziemi. Dalej na wschód, po drugiej stronie portu spalony dwukominowy parowiec ośiadł na dnie. W dzielnicy portowej Niemcy nie ograniczyli się tylko do niszczenia statków i urządzeń przeładunkowych. Wysadzili także w powietrze fabrykę makaronu w San Giovanni i spichrz. Uboższa ludność została pozbawiona pożywienia i przez całe tygodnie nie można było dostać ani kawałka chleba. Z tyłu, za spalonymi spichrzami widać było zniszczone wagony kolejowe i zburzone budynki stacyjne. Amerykańscy i brytyjscy żołnierze energicznie pracują nad uprzątnięciem gruzów i oczyszczeniem linii kolejowej.

Wracając do miasta spojrzałem na wielki napis, wymalowany na jednym z murów koło wybrzeża: „Dux vincere”. W pobliżu kilku marynarzy było zajętych umieszczeniem tablicy na bramie wiodącej do składów marynarki. Na tablicy, na czarnym tle widniały duże, białe litery: „Royal Navy”.

Woda jest najcenniejszą rzeczą w Neapolu



Wojna obecna, a zwłaszcza jej okres, obejmujący lata 1941 i 1942, przyniosły ze sobą paradoksalne zjawisko, na które nie zwrócono dotychczas dostatecznej uwagi, a które bez wątpienia stanowić będzie przedmiot dociekań historyków przez długie lata. Fenomenem owym był taki czy inny, aktywny czy sympatyzujący udział większości państw łacińskich Europy po stronie ich najbliższego, odwiecznego wroga, Niemiec. Podczas wojny światowej sytuacja w tym względzie kształtowała się całkiem odmiennie, zgodnie z normalnymi przesłankami historycznymi i psychologicznymi. Francja, Włochy i Portugalia prowadziły wojnę przeciw Niemcom, Hiszpania pozostawała ściśle neutralna. W wojnie obecnej, po klęsce Francji, sytuacja w Europie łacińskiej ułożyła się inaczej. Włochy i Francja oficjalnie znalazły się, pierwsze de jure, druga — de facto, w obozie „osi”.

Nic tu zmienić nie może okoliczność, że Francja wchystowska nie wypowiedziała oficjalnie wojny żadnemu ze swych byłych aliantów i że wciąż zapewniała o swej ściślejszej neutralności, ani też fakt istnienia obozu Francji Walczącej. Wiemy wszyscy, że nie tylko Francja kontynentalna i znaczną część jej imperium znajdowały się w tym czasie w pełnej rozporządności „osi”, ale że ponadto rząd Petain-Laval-Darlan współpracował z „osią” czynnie, pomagał jej, w miarę sił i możliwości i, jeżeli przynajmniej chodzi o niektóre osobistości tego rządu, zwycięstwa życzył Niemcom. Co się tyczy „ściślejszej neutralności” Hiszpanii, to trzeba było dużo dobrej woli, aby zgodzić się na takie właśnie określenie jej stanowiska, aż do ostatnich czasów. Fakty takie, jak pogwałcenie statutu tangerskiego, wysłanie dywizji błękitnej do Rosji oraz manifestacyjne podkreślenie solidarności ideowej z „osią”, mówiły dostatecznie same za siebie. Aż do początku roku bieżącego Hiszpania znajdowała się de facto w obozie „osi”, nie będąc w nim de jure. Prawdziwie neutralną była tylko Portugalia, związana z Anglią przyjaźnią i traktatem przymierza.

Tego rodzaju proniemieckie stanowisko większości państw Europy łacińskiej nie było jednak bynajmniej wyrazem woli, ani uczuć odnośnych narodów, lecz raczej dziełem klik, chwilowo nimi rządzących. Naród francuski, poza nieznaną garstką zdrajców lub otumanionych głupców, napewno nie zmienił nagle o 180 stopni swych sympatii i antypatii. Przeciwny Francuz z pewnością nie stał się przyjacielem Niemiec, ani wyznawcą idei hitlerowskiej. Przeciwnie, poznawszy bliżej, w bezpośrednim zetknięciu z praktyką okupacyjną swych wczorajszych przeciwników, a obecnych, jak to usiłowano mu wmówić, „protektorów” i „opiekunów”, zapałał do nich większą, niż kiedykolwiek, nienawiścią. Żadne z posunięć Petaina, Laval, Darla-

# ŁACIŃSKA EUROPA

na i ich kliki nie miało nie wspólnego z istotną wolą narodu francuskiego.

Również i olbrzymia większość narodu włoskiego nie aprobowata, ani nie rozumiała nawet proniemieckiej polityki faszystów. Włoch, zwłaszcza północny, jest z natury i tradycji germanofobem, zna dobrze Niemców i nie znosi ich. Zbyt wiele Niemcy dali się we znaki Włochom w różnych epokach historii, zbyt świeże jeszcze są wspomnienia niemieckiej dominacji nad Triestem i Trydentem, Bolzano i Polą, zbyt różne i wykluczające się nawzajem są światopoglądy i konstytucje psychiczne obu narodów, by mogło być inaczej. Ktośkolwiek przebywał we Włoszech w latach 1936-39 i miał tam stosunki, zdziwiony być musiał powściągliwością odrączy społeczeństwa włoskiego do włosko-niemieckiego przymierza. Prawdziwym wyrazi-cielem opinii narodu włoskiego był, mimo wszystko, sam Mussolini, gdy przed rokiem 1935 pisał niegdyś, że Niemcy chodzili jeszcze na czworakach, gdy Rzym zadziwiał świat swą kulturą i cywilizacją.

I w Hiszpanii pro-osiowa polityka rządu generała Franco wzbudzała silne zastrzeżenia u znacznej części społeczeństwa. Zwłaszcza sfery wojskowe, zgrupowane dokoła t. zw. grupy generalskiej, oraz karliści (monarchiści) byli zasadniczo i zdecydowanie przeciwni zbyt bliskiemu wiązaniu się z Niemcami. Nieraz dochodziło na tym tle w Hiszpanii do starć bardzo ostrych, przy czym koniec końcem udało się jednak uniknąć czynnego wciągnięcia tego kraju do wojny, po stronie „osi”.

W tej paradoksalnej i nienormalnej sytuacji większości państw łacińskiej Europy — ostatnie tygodnie przyniosły wręcz radykalną i zdecydowaną zmianę. Raz jeszcze okazać się miało, że wszelkie poczynania polityczne na wielką skalę, sprzeczne z doświadczeniami historii i z nastawieniem psychicznym odnośnych narodów oraz nie posiadające mocnych korzeni w ich tradycjach skazane są, wcześniej czy później, na kompletne fiasko. Mogła dyktatura faszystowska kazać Włochom, by wbrew przekonaniu, walczyli przez półzwarta roku ramię w ramię z Niemcami, nie rozumiejąc, dlaczego i poco. Skończyło się tym, czym skończyć się musiało. Włochy, ich król i rząd, są dziś po drugiej stronie barykady i walczą przeciw Niemcom. Mógł sobie Laval perswadować Francuzom, że Niemcy są ich najlepszymi przyjaciółmi, mógł kazać strzelać do wojsk alianckich w Dakarze i Casablance. Od roku niemal naród francuski daje mu coraz mocniejszą i jaśniejszą odpowiedź: nie chce słyszeć ani o nim, ani o rządzie Vichy, ani o współpracy z Niemcami. Mógł sobie w Hisz-

panii Serrano Sunier i jego „Falanga” snuć marzenia o wspólnej akcji zbrojnej z Niemcami, o zagarnięciu Marokka francuskiego i całego kraju Basków. Olbrzymia większość społeczeństwa hiszpańskiego nie dała się omamić tym złudom, Hiszpania nie została wciągnięta do wojny i dziś pozycja jej uległa szybkiej i radykalnej ewolucji.

Najbardziej rewolucyjna przemiana dokonała się, oczywiście, na odcinku włoskim. Gmach faszyzmu, budowany z trudem przez lat dwadzieścia, rozleciał się, jak domek z kart, w ciągu paru dni. Włochy skapitulowały. Mussolini, ongiś herold wielkości i światowej potęgi swego kraju, uwięziony przez marszałka Badoglio i uwolniony przez Hitlera, stał się po swym pierwszym i jedynym dotychczas przemówieniu, wygłoszonym w charakterze szefa „Włoch republikańsko-faszystowskich”, zwykłym... Quislingiem. Naskutek okupacji większej części półwyspu Apenińskiego przez wojska niemieckie, prawdziwe Włochy, te króla Wiktora Emanuela i jego konstytucyjnego rządu, wypowiedziały wojnę III Rzeszy i uznane zostały przez sprzymierzonych jako „współ-kombatant”. Ta główna zmiana sytuacji wywołała daleko idące zastrzeżenia i sprzeczności strony tych państw sprzymierzonych, które od Włoch doznały największej krzywd. Odezwała się Francja algerska, Grecja, Jugosławia. Ogólną uwagę zwróciło energiczne oświadczenie premiera greckiego, Tsuderosa. Te wszystkie protesty, aczkolwiek zupełnie usprawiedliwione, nie potrafiły jednak w niczym zmienić sytuacji, albowiem nikt nie zdziałał nie może przeciw nieubłaganej logice historii. A ta właśnie logika pchnęła obecnie Włochy na ich nową drogę, jedyną naturalną tak, jak naprowadziła je na nią, w innych nieco okolicznościach, w latach 1914-15.

Ewolucja francuska postępuje również szybkim krokiem. Rozpoczęła się ona właściwie na dobre już w listopadzie roku ubiegłego, po zajęciu francuskiej Afryki Północnej przez wojska sprzymierzone. Już wówczas, w Algerii, Marokku i Tunisie, okazało się, jak powierzchowne i nietrwałe były wpływy Vichy i jak bardzo antyniemieckie jest w istocie nastawienie olbrzymiej większości narodu francuskiego. Jeszcze dobitniejszym świadectwem w tym względzie było niedawne oswobodzenie Korsyki. Rodzinna wyspa Napoleona wyzwolona została w trzech czwartych przez jej uzbrojonych mieszkańców, jeszcze przed przybyciem jakichkolwiek wojsk alianckich. Cała ludność skorzystała z pierwszej nadarzającej się okazji, aby zwrócić się przeciw znienanemu Niemcom. I cóż okazało się? Że kolaborantów policzyć można było tam na palcach.

Reżim algerski, panujący obecnie nad całym prawie imperium kolonialnym Francji, a ostatnio i nad Korsyką, umacnia się coraz bardziej i staje się w coraz większej mierze — istotnym rządem. Vichy zdyskredytowało się we Francji do szczytu. Najbardziej nawet zasłanianymi zwolennicy marszałka Petaina, ci, dla których wszystko, co nosiło jego podpis, było świętością, stracili już złudzenia. Zaczynają rozumieć, że jeśli sędziwy marszałek miał nawet dobrą wolę, to w każdym razie popełnił szalony, historyczny pomyłek. Uwierzył w niechwytność klęski Anglii. O Lavalu wie dziś każdy we Francji, że jest zdrajcą i sprzedawczykiem.

Portugalia, dotychczas neutralna, ostatnio znalazła się w istocie w obozie sprzymierzonych. Trudno bowiem zakwalifikować inaczej odwołanie przez nią do dyspozycji Anglii baz morskich i lotniczych na wyspach Azorskich oraz związane z tym zarządzenia wojskowe. Krok ten, poza jego wielkim znaczeniem dla dalszego przebiegu wojny, był charakterystycznym jeszcze z innego względu: ujawnił on, jak dalece zalał się na świecie prestiż Niemiec. Czyż bowiem jeszcze rok temu tego rodzaju posunięcie byłoby wogóle do pomyslenia? I czy reakcja niemiecka byłaby wtedy równie platoniczna i bezsilna?

Stanowisko Hiszpanii uległo również wielkiej zmianie. Zapoczątkowała ją już przed szeregami miśsięcy charakterystyczna dymisja germanofilijskiego Serrano Suniera i zastąpienie go przez umiarkowanego, konserwatywnego generała Jordana, który objął tękę ministra spraw zagranicznych. Już ta zmiana wykazała, że w hiszpańskim obozie rządzącym zwycięży kierunek umiarkowany. Obecnie świadectwa takiego właśnie stanu rzeczy mnożą się coraz bardziej. W ostatnim przemówieniu generała Franco nie było wzmianki o Niemcach, ani o Włoszech. Gdy z powodu niedawnej sprawy baz azorskich Portugalia znalazła się w otwartym konflikcie z Niemcami, gen. Jordana zawiadomił premiera portugalskiego, dra Salazara, że w razie, gdyby kraj jego został zaatakowany przez III Rzeszę, Hiszpania wypełni swe zobowiązania sojusznicze i wystąpi w jego obronie. Równocześnie despesze doniosły o wyjeździe z Madrytu do Londynu dwóch emisariuszy hiszpańskich, księcia Montebello i markiza Ardalez. Po co pojechali tam, nie wiadomo, wolno jednak przypuszczać, że nie na przejażdżkę urlopową.

W obecnym konflikcie łacińska Europa zajmuje w coraz większym stopniu miejsce, jakie dyktują jej historia, dobrze zrozumiany interes polityczny i tradycje kulturalne. Nie ulega już dziś wątpliwości, że w przyszłej budowie świata powojennego odegra ona należną jej rolę, ku dobru tego świata i ludzkości.

Roman Fajani



Kongo koło wodospadów Stanley'a

## TRZY RZeki

W najbliższym czasie ukaze się książka Henryka Giedzińskiego z jego podróży i pobytu w Afryce. Z książki tej wycinamy rozdział pt.: „Trzy Rzeki”

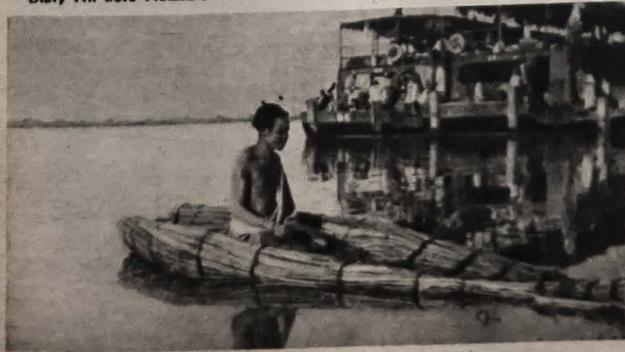
### O NILACH

Rzeka, którą jadę, jest ledwie że „prezerta”. Początkowo płynie dość wyraźnym korytem wśród brzoźw pokrytych wysoką, słonową trawą. Później jednak zaczyna się zjawiać małe pierzaste papirusy, które powoli pochłaniają wszystkie brzozi. Brzozi są zupełnie płaskie, a właściwie ich nie ma. To wielkie wyspy pływających papirusów, bagna ciągnące się setkami kilometrów we wszystkich kierunkach. Życie zwierzęce, tak obfite w ciągu dwóch pierwszych dni podróży, znika. Tylko od czasu do czasu na wyspach, jak w Arce Noego, gromadzą się ludzie i zwierzęta. Rzeka, która drenaży obszar wielkich jezior i niesie wody z lodowców Ruwenzori, traci tu 0,9 swej objętości. Ze statku widać jak rzeka wpływa w bagno małych stumykami. Do niej nie wpływa nic. Parowanie tu jest bardzo wielkie, jesteśmy przecież gdzieś około 10 stopnia długości północnej. Te wielkie wyspy zieleńcy papirusowej mają niemiły zwyczaj odrywania się kawałkami i po prostu zamykania rzeki. Żegluga w takich wypadkach bywa zatrzymywana. Specjalne statki rozrywają po kawałku trawy, lub sama rzeka wytwarza sobie nowe koryto. Poczynając od Malakatu, Biały Nil znów zaczyna płynąć wśród określonych brzozi. To pas sawanny i bytła. Gdy wreszcie dociera do Chartumu, jego siła żywotna reprezentuje zaledwie 0,2 siły jego wspaniałej siostrzy Nili Niebieskiego. Nil Niebieski to rzeka kaprysów. To jego wielkie wody, nabrzmiałe deszczami płaskowyżu abisyńskiego, dają błogosławiony wylew Nilu w Egipcie w miesiącach od czerwca do listopada. To jego wody niosą z gór mól, zamieniając Sahare na ziemię uprawną faraonów. Biały Nil w bagnach papirusowych zostaje przefiltrowany i nie poza wilgocią nie może ofiarować zgłodniałej ziemi. Nil Niebieski wysycha w okresie zimowym i gdyby nie było Nilu Białego, który swą niewielką ilość wody niesie przez cały rok, Egipt zmarłby z pragnienia.

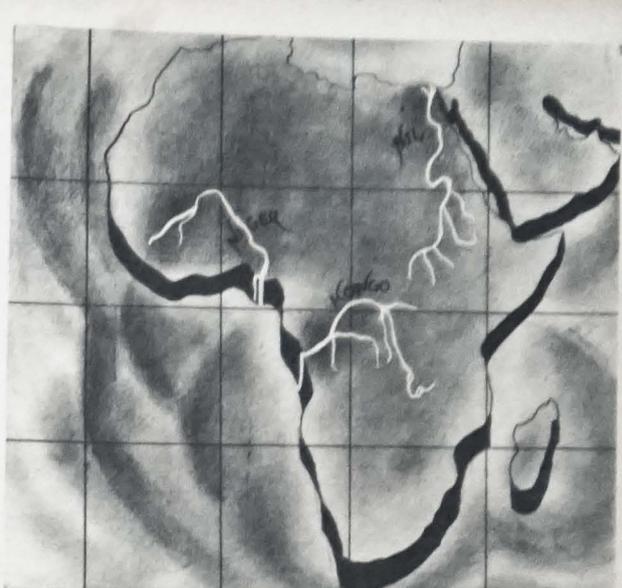
### KONGO

Mój wóz stoi na promie na Ubangi. Prom składa się z pięciu łodzi połączonych deskami. W łodziach jest kilkunastu czarnych wioślarzy. Nie są oni pónadzy jak zwykle, ale noszą niebieskie, wełniane koszulki ze złotą gwiazdą pośrodku. Prom odbija od brzozi. Wioślarze poczynają miarowo wiosłować. Prom zatrzymuje się na drugiej stronie — jestem w Kongo Belgijskim.

### Biały Nil koło Malakatu



Biały Nil koło Malakatu



się na drugiej stronie — jestem w Kongo Belgijskim. Jak wszystko w Afryce Zachodniej i Centralnej, tak i ujście Kongo zostało odkryte przez Portugalczyków. Diego Cao pierwszy zobaczył tę potężną rzekę w 1482 roku i nazwał ją Zarius. Kongo było jednak zbyt odległe dla handlarzy niewolnikami, a jego puszczę uniemożliwiała wszelką penetrację do wnętrza, tak że Livingston jest właściwie pierwszym człowiekiem, który odkrył i zrozumiał wielkie znaczenie tej drogi wodnej na samym równiku. Drugi Anglik, który kontynuował jego prace odkrywcy, Stanley, był niewątpliwie największym odkrywcą wszech czasów. Ofiarował on swemu rządowi terytorium, którego nigdy żaden człowiek ani przedtem, ani potem nie ofiarował swemu państwu. Było to jednak terytorium, którego w owym czasie nikt nie chciał. Jedynym człowiekiem, który zainteresował się odkryciami Stanleya, był król Belgów, Leopold II. Założył on towarzystwo o niewinnie brzmiącej nazwie — International African Association, którego emblematem była niebieska flaga ze złotą gwiazdą (taka właśnie, jak koszulki moich wioślarzy na Ubangi). Leopold II z własnej skatuli wyłożył milion franków, by popierać działalność tej organizacji. W międzyczasie jednak Francuzi zaczęli interesować się działalnością Stanleya. Wysłany został dla uprzedzenia Stanleya nad Kongo podróżnik Brazza, który wprowadził wygrat wyścig ze Stanleyem, docierając do Stanley Pool na długo przed nim, jednakże nie był przygotowany na dalszą drogę w górę Kongo, a Stanley, który przywiózł ze sobą statek składany i tysiące tragarzy z Zanzibaru, podbił Kongo dla Leopolda II. W miejscu, gdzie na dwóch brzegach Kongo stali pewnego dnia grudniowego 1880 roku Brazza i Stanley, dziś wznoszą się dwa miasta: Leopoldville i Brazzaville.

### NIL NEGRÓW

Przejeżdżam Nigrem koło Jeby. Wspaniała szeroka rzeka toczy swe wody trzema korytami. Kongo, Nil i Niger — trzy wielkie siostrzyce tego kontynentu. Każda jest potężna i każda tak zupełnie inna. Niger wpływa z północy na południe, porośnięty puszczą z gór Sierra Leone, olbrzymim tukiem 2000 km wzdłuża się do Sahary, tworzy tań, jemiczne jeziora w okolicach Timbaktu, by potem zwrócić się znów na południe i po otrzymaniu wód z Benue stworzył największą w Afryce delte tysiąca strumieni, porośniętą puszcza dziewiczą na południu Nigerii. Wydaje się, że Niger, jako beniaminek trzech siostr, zrobił im po prostu na złość. Zamiast spłynąć spokojnie paręset mil do Zatoki Gwinejskiej w Sierra Leone, wybrał się w podróż 2600 mil po przez Saharę, by do tejże samej zatoki powrócić. Jego starsza siostra Nil wykazała więcej determinacji. Wypływając z wysokich gór i jezior Ruwenzori, postanowiła dotrzeć po przez Saharę do Morza Śródziemnego i wykonała to w sposób zdumiewający. Najstarsza, Kongo nie wykazała żadnych zainteresowań „zagranicznych”. Zrodzona w puszczy równika, trzyma się puszczę, błądząc po niej po dziś dzień i nigdy nie wychylając swych wód z pod przylegającego cienia drzew olbrzymów, zarażających jej brzozi. Niespełna 100 lat temu niewiele wiadano jeszcze o tych trzech siostrach. W tych czasach, gdy nie myślano a budowie dróg, a napewno lotnisk, jedyną drogą w głąb „Terra incognita” były rzeki. Arabski geograf XII stulecia opowiada o Nilu Negrów w odróżnieniu od Nilu Egipskiego. Według jego zdania, Nil Negrów jest to zachodnia odnoga Nilu, wypływającego tak jak Nil Egipski z Mitycznych Gór Kaitajczych. Henryk, król Portugalii, który pierwszy w Europie wysłał ekspedycję dla zbadania tych stron, nakazał sprawdzić te wiadomości. Ody Portugalczycy odkryli ujście rzeki Senegalu, byli przekonani, że jest to ujście Nilu Negrów. Pierwszym człowiekiem, który odkrył źródła Nigru i niewątpliwie stwierdził, że płynie on na wschód, był słynny podróżnik Szkot — Mungo Park. Wylądował on w 1795 roku w Gambii i w swym cylindrze zszedł „na przejażdżkę” — jak mówi — „w słońcu poranka, nie szerzej niż Tamiza pod Westminsterem i płynącej na wschód”. W 10 lat później Mungo Park wybiera się na drugą wyprawę, tym razem, by odkryć ujście rzeki. W swych pamiętnikach podaje, że pewien jest, iż Niger wpływa do Oceanu w miejscu ujścia Kongo. Nie dane mu jednak było zakończyć tej podróży, zginął z rąk dzikich, w wodospadach Bouso. To dziwne miejsce Jeba. Ma ono złą sławę od czasu śmierci Mungo Parka. Od miejscowego kierownika Niger Company wyszła przedziwna historia skały, która wyrasta z szerokiego łożyska rzeki. Skała ta nazywa się Ju Ju Rock.

### Nil Wadi-Halfa pod Assuanem



Nil Wadi-Halfa pod Assuanem

Henryk Giedziński



Ogień artylerii inwazyjnej wzrasta się z minuty na minutę. Łusek jest coraz więcej...

# POLSKA ARTYLERIA GOTOWA DO INWAZJI



Po ostrym strzeleniu artylerzyści czyszczą lufy dział



Artylerzyści przygotowują swoją 25-cio funtówkę do akcji



Nowoczesne 25-cio funtowe działo w czasie wielkich, inwazyjnych ćwiczeń polskiej artylerii „gdzieś” w Anglii. Amunicyjni przy pracy



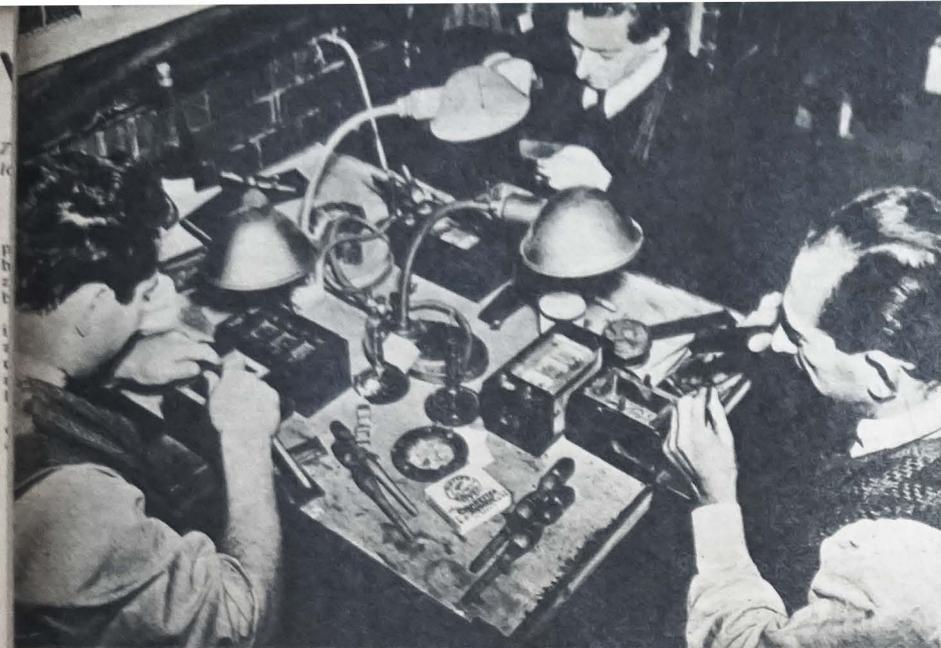
Bateria 25-cio funtówek oddaje salwę  
Działo na pozycji zamaskowane siatką kamuflażową



Bitwa w polni. Zaporą ognia przecina spokojny, wielki krajobraz

To jest pies „Tygrys” — maskotka jednej z baterii. Od dwóch lat Tygrys towarzyszy naszym artylerzystom, a obecnie przygotowuje się wraz z nimi do wyprawy na kontynent





Polerowanie diamentów w jednej z wielkich szlifierni londyńskich



Promienie pozycyfioletowe oddają wielkie usługi przy wykrywaniu kamieni szlachetnych

# KLEJNOTY W SŁUŻBIE WOJNY

Drogie kamienie odgrywają coraz ważniejszą rolę w przemyśle wojennym. Bez nich budowa wielu precyzyjnych aparatów byłaby niemożliwa. Diamenty znane są powszechnie jako najtwardsze narzędzia do cięcia m. in. szkła. Dziś w przemyśle używa się przeważnie szlachetnych kamieni syntetycznych — to jest otrzymywanych sztucznie w wyniku skomplikowanych procesów chemicznych. W chwili obecnej istnieją wielkie fabryki syntetycznych szafirów — jedna z największych znajduje się w Stanach Zjednoczonych A. P. Znany dziś

kamień twardsze od szafirów — produkowane również na drodze syntetycznej.

Jak wiadomo największe na świecie szlifiernie diamentów oraz innych szlachetnych kamieni znajdują się w Amsterdamie i w Antwerpii. Bardzo znaczny procent holenderskich i belgijskich szlifiery specjalistów zdolał przedostać się szczęśliwie do Anglii. Obecnie w Birmingham odbudowany został przy pomocy belgijskich i holenderskich fachowców — słynny szlifierski przemysł amsterdamski i antwerpski. Służą dziś on potrzebom wojny.

Jedna z kopalń diamentów w Afryce Południowej



Diamenty surowe, przed obróbką



Przygotowywanie diamentów do końcowego szlif



Trzasnęły drzwi od kuchni. Huknęło przewrócone w pośpiechu krzesło i do pokoju wpadła zdyszana Małgoska.

— Proszę pana... łapią! — wykrzusiła z przerażeniem.

— Co takiego?!

Obliźnięta zeschła wargi i poprzez ściśnięte gardło wysapała z głębi rozfalowanych piersi.

— Ulica obstawiona... wyciągają z domów... podobno tych, co byli na wojnie... a teraz nie zarejestrowani. Tak mówiła sklepikarka Janowska... Pakują na dorżki i wywożą do więzienia...

W jej dużych, okrągłych, niebieskich oczach malowało się śmiertelne przerażenie.

Usiadłem na łóżku. Trudno, trzeba uciekać, albo zaraz usłyszę kołatanie we drzwi i wyciągną mnie z mieszkania, jak królika z klatki. Odrzucam kołdrę i drżącymi rękami zaczynam ubierać się. Machinalnie spoglądam na zegarek: siódma rano. Trzęsę się z wewnętrznego zimna, choć czoło mam wilgotne od potu. Wiem, że muszę natychmiast wyjść z domu, lecz nie zdaję sobie sprawy jak i dokąd. Ostatecznie wychodzę na schody, jak gdybym szedł na zwykłą przechadzkę. Nie zdążyłem jednak zejść z półpietra, gdy służąca wybiegła za mną.

— Chodźmy do stróża. — Spojrzała na mnie prosząco.

Pomyślałem, że zechce mnie tam ukryć. Nie wydało mi się to celowe, ale posłusznie poszedłem za nią. Na parterze było mieszkanie dozorca. Weszliśmy.

— Panie Józef! — zawołała Małgoska — Idźno tu pant!

Odciągnęła go na bok i coś mu szepotała. Józef z początku nie rozumiał, potem zrozumiał, ale w żaden sposób nie chciał się zgodzić. Wreszcie, gdy dziewczyna wcisnęła mu w łapę srebrny krążek pięcioczołówki z podobizną profilu Piłsudskiego, stróż podrapał się za uchem, splunął na podłogę i z nieprzyjemnym, żółtawym uśmiechem powiedział głośno:

— No, niechta!

Zaczem wszedł do przyległej izby, skąd wyniósł stare, zabłocone buciorzy z cholewami i granatowe spodnie.

— Niech ta się odziewa. — Zwrócił się do mnie.

Natożyłem wręczone mi łachy, zdjąłem krawat i kołnierzyk. Dostałem również zniszczoną maciejówkę z potaminy daszkiem i dopiero teraz wyszedłem na podwórce.

— Niech jeszcze weźmie i to. — Zawołał za mną Józef.

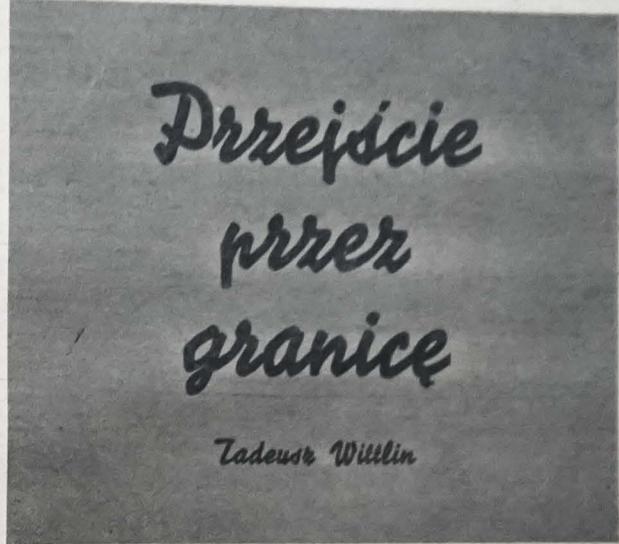
Zatrzymałem się, a dozorca ze źle ukrywanym triumfem w oczach, podał mi miotłę. Wolnym krokiem wychodzę przed bramę. Po przeciwnej stronie ulicy stoi poczciwa, warszawska doróżka, dzisiaj jakże groźna. Na koźle obok wsiada niemiecki żołnierz z karabinem. Dookoła pilnuje pięciu, czy sześciu SS-mów z żółtymi opaskami na ramieniu. Także z karabinami. W doróżce już jest kilku zaaresztowanych. Jeden, w czarnym palcie, trzyma na kolanach naprędce związaną paczkę. Prawdopodobnie z jedzeniem. Drugi, w rannych pantoflach na bosych stopach, w szarym, pomiętym garniturze, trzeci, o nieogolonym, siwym zarostku — w niebieskiej piżamie, wprost wyciągnięty z łóżka. Spojrzałem w prawo. Od ulicy Kruczej dzieliła mnie przestrzeń zaledwie jednego domu. Na rogu jednakże stoją żołnierze w hełmach szturmowych i pełnym uzbrojeniu oraz paru o podejrzanym, szpicłowskim wyglądzie, zrewolwów w narcyjskich czapkach. Folksdojcz. Kołbiąc się w zbyt obszernych buciskach, idę w ich kierunku. Mijam kolorowe okna restauracji „Narcyż”, z której suterenu bucha gorąca woń smażonego mięsa na jakimś podłym tłuszczu. Jeszcze kilkanaście kroków z sercem ściśniętym tuż pod gardłem. W tej chwili przychodzi mi na myśl, że wnet muszę zwrócić na mnie uwagę i poznać, iż w tym przebraniu wyglądam nie jak zamiatacz, ale jak tragiczny błazen z wędrownego cyrku. Zatrzymuję się i zapalam papierosa. Zdaje mi się, że robię to dość obojętnie i bardziej naturalnie, niż gdy wymachuję miotłą. Zwolna przechodzę pomiędzy wartą i skręcam za róg. Gdy jestem na Kruczej, pocynam iść spieszącej. Za rozbitym wystawą spożywczego sklepu czerni się pusta brama. Wchodzę. W podwórzu nie ma nikogo. Oparam o ścianę miotłę, jako już zbędny rekwiizyt i wybiegam. Po jeździ człapie niezajęta doróżka z podniesioną budą. Wskakuję i rzucam adres. Woznica cmoknięciem podpedza szkapę i rusza przed siebie. Jadę przez rozwaloną Bracką, Mazowiecką, Plac Marszałka, gdzie nad grobem Nieznanego Żołnierza zwisają dwie olbrzymie flagi ze swastyką, pozostawiam za sobą pogorzeliśka Wierzbowej i skręcam w Senatorską. Wreszcie jestem na miejscu. Pląc, wbiegam na schody i dzwonię do drzwi. Zofii nie

ma w domu. Poszła na Kredytową, gdzie podobno wydają bezpłatnie węgla dla rodzin po zaginionych na wojnie oficerach. Zapalam papierosa i siadam w staromodnym fotelu w wytłaczane kwiaty. Obok, na oknie leży książka. Stare wydanie Szekspira z przed czterdziestu lat, Romeo i Julia w przekładzie Paszkowskiego. Kartki cienkie i potłokte. Zagląbam się w czytaniu i zapominam o ponurej rzeczywistości.

Przychodzi Zofia. Węgle nie dostała, przynosi natomiast cały szereg nowin i wiadomości. Niestety, wszystkie ponure. Zrzuciła buty z ramiion i w chusteczce na głowie krząta się po mieszkaniu. Raczej bezcelowo przekłada z miejsca na miejsce jakieś pudełko i miejsca na jednoczesnie opowiada, mówi szybko i nerwowo. Od spotkanego lekarza, który po rozbiću ambulansu pieszo przy-

nazwami lekarstw, wypisanymi na stołkach i butelkach aptecznych... tak... na wszelki wypadek... jeśliby nagłe jaka niespodziana komisja, czy rewirja, to to przecież obecnie nic nie wiadomo... szczególnie jutro, jest dzień Zadusznego i podobno będą w kościołach i na ulicach liczne araszowania... oczywiście nie pewnego, ale tak mówią, a mój nowy znajomy ma wiadomość o dobrego stróża.

Żegnamy się i wychodzimy. Na ulicy zwieram się Zofii, że nasz magister robi bliźniacze solidne wrażenie i może być pierwszy, który mnie zasypie. Zofia przyznaje mi słuszność. Na Krakowskim Przedmieściu spotykamy Jerzego. Chodzi jak błędny. Wczoraj zrobił u niego rewizję. Szukają go. Według wszelkiego prawdopodobieństwa lada dzień i ja mogę spodziewać się podobnych odwiedzin.



wędrował z pod Równego, dowiedziała się, że ojciec jej wraz z innymi oficerami wzięty został przez bolszewików do niewoli i w „ciepluszce” wywieziony w kierunku Kijowa.

Ze słowem „ciepluszka”, oznaczającym towarowy wagon, zaopatrzony w żelazny piecyk, zetknąłem się wówczas dopiero pierwszy raz i Zofia dzieląc się ze mną wiadomością o ojcu wyjaśniała mi znaczenie tego wyrazu. Później, gdy „ciepluszka” będę jechał kilka tysięcy kilometrów powracając z Syberii, świetnie poznam sposób takiej podróży.

Zofia wie już, że w domu niebezpiecznie siedzieć, gdyż wyciągną z mieszkania. Bo choć do rocznicy jedenastego listopada jest jeszcze dziesięć dni, Niemcy w obawie demonstracji już przeprowadzają masowe araszowania. Po ulicach można swobodnie chodzić do godziny siódmej wieczorem, jeśli posiada się zaświadczenie pracy. Zofia zna pewnego farmaceuta, uciekiniera z Katowic, obecnie kierownika jednej z warszawskich aptek. Obiecuje poprosić go o zaświadczenie, że jestem zatrudniony jako pomocnik aptekarski. Po południu pojedziemy tam. Zofia przechodzi do kuchni, zapala gazową maszynkę i gotuje obiad. Wkrótce bulgocze coś w garneczku, skwierczy przy-smażane na patelni, syczy w czajniku woda na herbatę. Po jedzeniu idziemy do owego maga. Apteka jest przepelniona. Jednakże znajomy farmaceuta na widok Zofii porzuca pracę i prosi nas do przyległego gabinetu. Przedstawiam się... a Zofia prosi go w moim imieniu. Aptekarz wysłuchuje jej sków i mówi, po czym w milczeniu sięga po kartkę kratkowanego notosu i szybko, karkłotawym atramentem wypisuje po niemiecku odpowiedni „schein”. Przykłada miotłę pieczęć i podpisuje się. Nazwisko ma niemieckie. Mój fikcyjny szef jest to starszy, około sześćdziesiątki, do-kładnie czuprynie, oczach bystrych, przenikliwych, wyrazie twarzy inteligentnym. Wcale nie wygląda na przystojowitę. Spojrzenie ma młodzieńcze, choć przemiłne. Rozmawia z nami uprzejmie, acz spieszy się, gdyż nie ma czasu. Mówi szybko, wesołym, mimo że po-bliżu ludzi, głosem. Więc owa grzeźność, to oczywiście drobnostka, ale głupstwo, doprawdy nie ma za co dzię-kować ja, będę mógł przychodzić do jego budy, kiedy mi się spodoba i sie-dzieć choćby po kilka godzin dziennie, pisząc lub czytając w tym gabinecie. Wartoby również, bym zapoznał się z

Nie pozostaje nam za tym nic innego, tylko uciekać. Nie jest to jednak ni łatwe, ni proste. Jeszcze dwa tygodnie temu wystarczyło zrobić dziesięćdziesiąt kilometrów, by wydosłać się z rąk Gestapo, bolszewicy bowiem byli pod Mińskiem Mazowieckim. Teraz trzeba gnać aż do Białegostoku. Zresztą zdaje się, wyprawa z deszczu pod rynek, gdyż po tamtej stronie grasują podobno bandy skomunizowanych Ukraińców i Białorusów, którzy tak zwanych „inteligentów” ograbiają i mordują. Tylko, że łatwiej ująć bolszewikom, niż hitlerowcom. Stwierdzam, że do mieszkania wrócić mi nie wolno, bo jeśli Jerzy jest na liście kandydatów do Dachau, to ja tym bardziej. Podaję Jerzemu adres Zofii, gdzie będzie mógł mnie zastać i ustalamy, że jutro, a najdalej za dwa dni wyruszymy razem.

Nazajutrz są Zaduski. Choć oczekiwanych przez Niemców demonstracji nie było, cały dzień był jedną wielką manifestacją żałoby narodowej. Nieprzełiczone tłumy ciągnęły ulicami i skupiona, milcząca cibą wypełniały kościoły. Szli ludzie na groby, bądź powracali z nad-mogi. Jednakże mało kto szedł na od-legły cmentarz Wojski, na Powązki, czy Bródno, jako że cmentarzem był wtedy każdy plac uliczny, każdy trawnik, czy skwer, gdzie w czasie wojny chowano nieznanych żołnierzy, romantycznych obrońców i niewinne ofiary. A gdy na rozplakane, tragiczne miasto począł spływać wczesny, jesienny zmrok, Warszawa rozbiła się niebu błękitno-żółtymi plomieniami. Małymi, jak świetliki, rozru-żanymi na wietrze. To wielką skargą płonęły mi niebu kagańce na grobach męczenników, bohaterów stolicy.

Do apteki nie poszedłem. Natomiast przygotowywać się do drogi. Zdobyłem adres pewnego szofera, który zgodził się dojechać do Bugu za cenę bafiki benzyny, wykombinowanej skądś przez Jerzego. Oprócz nas pojadą jeszcze cztery osoby, które kierowcy miezgorzej za tę przejażdżkę zaplaca. Odjazi jutro o siódmej rano. Pod wieczór, tuż przed upły-wem godziny policyjnej przyszedł do mnie Matka. Mówi, że w nocy zrobili u nas rewizję. Oficer i dwu żołnierzy. Moje nazwisko wypisane na maszynce, widniało w obszernym spisie imnych. Gdy uszyli, że wyjechałem, w poszu-kiwanie broni, spenetrowali szafy, po-liciel, bibliotekę, zaglądnali do pieca, za-obrazy i pod dywan, zmieniając mieszka-nie w jedno rumowisko. Matka także zgadza się, że muszę jaknajprędzej ucie-kać. Mówi energicznie, choć z uśmie-chem. Gdy całuję ją, odpina medalik i kładzie przede mną na stole z prośbą,

bym wziął i nie był cynikiem. Czynie to paprości, bez egzaltacji i zbytekny sen-tymenty. Z torbki dobywa swoją foto-grafię, bym zawsze mógł jej śmiało spojrzeć w oczy, iż nigdy nie popelnie nie takiego, który... Potem szybko wsta-je, nakłada kapelusz i żegna się ze mną krótko bez czułości. Krzywi zatrzasnąwszy się. Na stole leżą fotografia i medalik, który będę nosił do chwili, aż zamknę miętę w więzieniu, a rewidujący odda-łowy szarpnięciem-terwizem mi go z szryi, ciotkę na podłogę i szmyrnięciem buta zagna w ką, pod półkę z afkami.

O święcie, gdy pakowałem prowiant do plecaka, przyszedł Jerzy. Czekał na samochod, który przyjechał z półgo-dzinnym opóźnieniem. Niebieska, sześci-cylindrowa Chevroletole przwozi przera-żonego adwokata z toną, dwójkiem dzie-d i młodszym waliz. Mecenas za podr-ót na naszej benzynie zapłacił kierowcy i wysłał złotych. Krótkie pożegnanie i wóz rusza. Przejedliśmy przez zatło-czoną most Kierbedzia i szoną grochowską opuszczamy miasto. Samochód sunie po równej drodze w rozłożony, ciepły rąk polskiej jesieni. Za rogatkami dostrzegam spalonego. Miśka Ma-zowieckiego zatrzymuje nas posterunek niemiecki. Adwokatowi zabierają wiecz-ne pióro, platynowy zegarek i robia męliki w walizach. Ja i Jerzy jesteśmy nietykalni pod osłoną niemieckiej pie-częci aptekarskiego zaświadczenia. Przed wieczorem samochód skręca pomiędzy zagrody, w zapyłonej drodze wsi Mal-donia Doina. Zatrzymujemy się przed du-żą stodolą. Starsza wieśniaczka uciska roz-szczekane hańdliwie psy. Paroletni, bony dzieciak prowadzi nas do ukrytej na u-boczu, pomiędzy brozami, szopy, gdzie przebiegamy do północy. Czas upływa nam na milczącym wyczekiwaniu. Wresz-cie, po latach płynących godzinach, u-chylają się drzwi, by wpuszcic barczyste-go mięczyma, który walcze nam drogę. Noc jest czarna, heksiętycowa. Wychod-żę jedynie z Jerzym, adwokatem bowiem, nie chcąc rozstać się z bagażami, zama-wia umyślnych tagazy. Przewodnik pro-wadzi nas do pobliskiego lasu i za cenę skórzanej papierosnicy ode mnie i scy-zoryka od Jerzego, objaśnia jak należy iść. Więc najpierw tę dróżką, potem będą takie trzy sosny, wtedy w lewo, za-czem trzeba przekroczyć strażniczek. Nagorzący kawalek drogi, to kiedy prze-chodzi się szeroką polanę, bo tam naj-częściej łapią, ale ze dzisiaj cienna noc-ka, więc chyba się uda. Za polaną jest zagajnik, a za nim już śmiało na-pród.

Udamy się we wskazanym kierunku. Ciemno jest, że na krok nie nie widać. Co chwilę potykamy się o korzenie i krzaki. Iglaste gałęzie biją nas po twa-rzach. Z oddali, pomiędzy czarnymi drzewami raz po raz błyskają gwiazdy zapalonych elektrycznych latarek niemie-ckich warlowników. Naszym zadaniem jest przeniknąć pomiędzy tymi światełkami. W butach chłupie mi woda po przebyciu wśród szerokiego strumie-nia.

Zbliżyliśmy się do polany. Po konarach so-sen pełzają cienie płomieni. Podkłada-my się na czworakach, jak sztućcy ba-więcy się w Indii. Wiem dołatać nas obłądny krzyk. Ostrożnie spoglądam z-pozza rozłożystych gałęzi choiny. Polana rozjaśnia czerwone światło rozpalonego ogniska. Dwa niemieccy żołnierze kol-bami karabinów katują leżącego na ziemi siwego Żyda. Głowa starca cała złana jest krwią. Jeszcze kilka uderzeń, cichy, beznadziejny skowyt i człowiek nie żyje.

Zatracamy wielki huk wokół tragicznie koszarnej łuki, wpadamy w gęszcz za-gajnika i o szarym, wilgotnym światnie wchodzimy na rynek w Roskach. Brud-no tu i błotnisto. Szeroko rozlane kału-że i rozwiezione pokłady mokrej, rudoj słomy. Na dachach drewnianych, parte-rowskich chałup sierzczą patyki i postre-pionymi kawałkami czerwonych szmat i bibułki. Z wiszącej u pola skrzynki pocztowej dookólnie zeskrobaso polskie-go orła. Przy studni stoja zarekwirowa-ne chłopskie furmanki, których pilnuje żołnierz w szarym, długim po kostki, płaszczu, ściągniętym wąskim ramięciem. Na głowie ma czapkę w rodzaju sinej pikielhauby z grubego sukna, upiękso-nej zieloną gwiazdą. W dłoniach ścisła karabin z bardzo długim „sztykiem”.

Od tej chwili rozpoczyna się moja wędrowka po terenach zajętych przez bolszewików i po Rosji Sowieckiej. Naj-bardziej różnorodnie zajęcia na wojności, nieudane ucieczki na Wilno i Rumunię, więzienia w Mińsku, w Gurkim i w Orle, sąd, etap do obozu na cichłej roboty, pobyt w „lagierach” na Syberii, powrot-na podróż po amnestii wzdłuż całej Rosji z Uralu po Turkestan i służba w armii ad do osiągnięcia zielonych wybrze-ży Persji.

Ale to jest duża, obszerna książka.





